

Warszawa –Plac Witkowskiego , od 1922 roku Plac Kazimierza Wielkiego To tutaj w 1908 roku powstały hale targowe / już nie istnieją ,dzisiaj stoi tu C.H Jupiter , poprzednio Dom Słowa Polskiego-potężna drukarnia./

Hale przy ówczesnym pl Witkowskiego miały pięć przęseł ,ceglane elewacje w stylu zmodernizowanego romanizmu i gotyku , z fasadą ozdobioną wieżą z iglicą. W ścianach szczytowych umieszczono wielkie półkoliste okna. .Elewację zdobiły rzeźby i płaskorzeźby tematycznie związane z przeznaczeniem hal na punkty sprzedaży artykułów spożywczych-ptactwo , zwierzyna łowna , scenki rodzajowe. Do budynku wiodły cztery wejścia Pomieszczenia do handlu były zaopatrzone w nowoczesne urządzenia techniczne.- kanalizację ,kratowane sufity,żaluzje

Hale, aż do końca ich działalności w 1942 roku, były miejscem zakupów dla mieszkańców okolicznych dzielnic.

W sąsiedztwie znajdowały się rampy towarowe warszawsko-wiedeńskiej kolei żelaznej. .Usytuowanie hal targowych właśnie w tym miejscu było bardzo trafne. Stopniowo wokół hal zaczęły powstawać dochodowe kamienice o ładnych eleganckich elewacjach i fasadach.

Plac i hale znajdowały się w kwadracie ulic Pańskiej, Miedzianej , Srebrnej i Wroniej przy końcu ulicy Siennej.

W 1932 roku do kamienicy przy Placu Kazimierza Wielkiego 11 wprowadziło się ,małżeństwo ,Józefa i Szczepan Traczykowie.Zamieszkali w jednopokojowym mieszkaniu na 3 piętrze kamienicy z oknami od podwórza-tzw studni.. Pani Józefa prowadziła dom , Pan Szczepan zatrudnił się w zakładach Lilpopa.

Fabryka powstała w 1818 roku, od 1854 znalazła się w rękach spółki Lilpop-Rau .Szczególny rozkwit zakładów to okres międzywojenny.Produkcja obejmowała lokomotywy , wagony kolejowe , podwozia samochodowe, nadwozia autobusowe , silniki spalinowe, turbiny wodne, sprzęt pożarniczy a także na potrzeby wojska . Montowano tu samochody osobowe , min.chevrolety .W 1938fabryka zatrudniała 3900 pracowników. Nic więc dziwnego, że chłopcy z okolic Warszawy i nie tylko, ze smykalką do mechaniki czy ślusarstwa jechali do Warszawy do Lilpopa wiedząc , że będzie tam praca i tam się urządza na resztę życia .

Kamienica nr 11zbudowana została , jak większość wokół , na planie kwadratu, z dużym podwórzem otoczonym chodnikiem od ścian budynku. Środek wielkiego podwórka zajmował trawnik , z boku znajdował się śmietnik i trzepak,na którym chłopcy w czasie zabaw wyczyniali przeróżne fikołki , stójki itp.ewolucje.

To podwórko to było miejsce zabaw , gier , uciech dla dzieci z tej czteropiętrowej dużej kamienicy . Dla nieco starszych dzieciaków wielką atrakcją były hale targowe-wystarczyło przejść przez ulice i trafiało się w inny ogromnie ciekawy świat .Stoiska handlowe ,stragany mrowie ludzi , zaprzęgi konne , różnorodność towarów , pokrzykiwania reklamiarzy –to wszystko budziło zachwyt i zainteresowanie nie tylko małych mieszkańców domu.

W 1934 roku w rodzinie państwa Traczyków pojawia się synek Bogdan , a w 1938 córeczka Maria.

Dzisiaj rozmawiam z Panią Marią Mrowińską –Krysią/tak nazywano ją w domu/ Traczykówną.

Co Pani pamięta z okresu okupacji?

Niewiele. Prawie cały czas spędzałam w domu z mamą , bylam malutka.Największą atrakcją dla mnie wtedy były hale targowe. Chodziłam tam z mamą po zakupy i zachwycałam się straganami i stoiskami z różnymi towarami , zapachami , gwarem itp. Brat szalał z kolegami na podwórku .Wygladałam czasem oknem, kiedy odrobinę podrosłam, i obserwowałam chłopięce zabawy - grę w piłkę, w chowanego, w klipę ,fikanie na trzepaku i inne .

Wolne chwile spędzaliśmy na działce, którą mieliśmy na polach mokotowskich-zapach maciejki czuję po dziś dzień. Z tamtego okresu pamiętam pewną przygodę :Ktoś wiozł mnie z tego ogródka rowerem/ chyba tatuś/ . Spadłam z tego roweru i mocno się poturbowałam .Dużą bliznę mam po dziś dzień . Z tej „katastrofy” wynikła późniejsza moja niechęć do nauki jazdy rowerem . Z czasem przemogłam strach i nauczyłam się tej sztuki. . Pamiętam też podróż kolejką z tatusem do Radziwiłłowa , gdzie mieszkali dziadkowie i krewni taty-tam pierwszy raz zobaczyłam pasące się krowy.

Rodzeństwo mamy , 2 siostry i brat, także mieszkali w Warszawie .Przybyli spod Radomia.Ta wędrówka do Warszawy to była droga za chlebem.

Małe gospodarstwa rolne nie były w stanie zapewnić warunków życia wszystkim członkom dość licznej rodziny . Młodzi zmuszeni byli szukać szczęścia i miejsca na ziemi gdzie indziej. Najbliżej była Warszawa z ofertą pracy i możliwością zamieszkania.

A wojna?

Wybuchu wojny nie pamiętam. Wiem tylko, że tatuś dostał przepustkę-fabryka pracowała na potrzeby Niemców.Idąc do pracy i wracając z niej czasem był kontrolowany ,

Opowiadał o tym w domu.. Bez przepustki tatuś nie wychodził.Większość mężczyzn była zmobilizowana. Myślę , że przepustka „informowała” ,że tatuś pracuje .

. Na początku nie wiedziałam nawet , że jest jakaś wojna..

W domu nie rozmawiano się o polityce, o tym co się wokół dzieje. Obecność małych dzieci , które mogły wszystko wypaplać uniemożliwiała jakiegokolwiek głośne komentarze-bezpieczeństwo rodziny było najważniejsze. Być może rodzice rozmawiali o wojnie , ale po cichu i pewnie późnymi wieczorami. Pamiętam jedno wydarzenie- utkwilo mi głęboko w pamięci.Chyba zbliżały się święta i mama kupiła barwinek do jajek Przechodziliśmy obok dość wysokiego ceglanego muru i mama upuściła ten pęczek zielonych listków z błękitnymi kwiatkami .Chciałam podnieść gałązki , ale mama stanowczo mi zabroniła. Okazało się , że wcześniej była tam egzekucja i stad te zielone gałązeczki w miejscu kaźni.-wysoki ceglany mur ,pod którym rozstrzelano kilku,a może więcej ,Polaków.

To był moment , który uświadomił mi , że jest wojna i czym jest wojna. Dopiero teraz zrozumiałam obecność żołnierzy niemieckich na ulicach , godzinę policyjną , przepustkę taty.

Życie naszej rodziny do wybuchu powstania jest zwyczajne-tato pracuje , brat chodzi do szkoły na ul . Miedzianej , mama prowadzi dom –zwykle normalne dni , jakby nie było wojny..

Od kiedy coś się zmienia?

Pamiętam wybuch powstania . Przybiegła do nas sąsiadka , której okna wychodziły na plac-wpadła i krzyknęła- strzelają , powstanie .Pobiegliśmy do jej mieszkania ,zblżyliśmy się do okna , a ona znowu ostrzegła- odejdźcie od okna ,kule latają..Wtedy poczułam strach.

Widziałam biegnących chyłkiem ludzi, powstańców z bronią przebiegających ulicami. Plac , hale , ulice –wszystko wokół zupełnie opustoszało. . Po wybuchu powstania mieszkańcy kamienicy , nie wszyscy , przenieśli się do piwnic . Mężczyźni utworzyli rodzaj straży obywatelskiej- dyżurowali na dachu budynku i w razie pożaru mieli zabezpieczać kamienice od góry , gasić płomienie ,żeby nie spłonął cały dom . W dalszej perspektywie ta inicjatywa straciła sens – brak wody i piasku do gaszenia ognia -kamienica i tak spłonęła.

Na razie mieszkamy w piwnicy .Jest tłok , zaduch ,glód. Niektórzy ludzie starsi, schorowani pozostali w mieszkaniach.. Pamiętam wyjącego psa. Pewna lokatorka, starsza pani została na górze z psem –ludzie szeptali , że prawdopodobnie umarła. W pewnym momencie powstania schroniliśmy się w podziemiach hal-tam było najbezpieczniej. Jednak trzeba było wrócić do piwnic kamienicy-plac był ostrzeliwany. Powstańcy walczyli z Niemcami o każdą ulicę , zaułek czy wręcz dom..

Dorośli w ciągu dnia wpadali na chwilę do swoich mieszkań po najpotrzebniejsze rzeczy .Po kilkunastu dniach tej mordęgi zachorowałam i pewnego dnia wieczorem wyszłam z mamą na

podwórko odetchnąć świeżym powietrzem Po zatęchłym zaduchu piwnicy.,ciasnocie poczułam świeży pomuch , ale nasiąknięty dymem . Wokół luny pożarów, płonące niebo ,snujący się dym , w półmroku straszące czarne czeluście okien, niesamowita porażająca cisza. Przerażało mnie to wszystko-wystraszona, głodna , chora nagle poczułam jakiś smakowity zapach. Na moim podwórku ktoś z sąsiadów na palenisku z 2 cegieł ugotował zupę-jakaż ta zupa była pyszna. Jako chora miałam prawo ją zjeść .Nie było to nic wielkiego –ugotowane suszone ziemniaki w mundurkach na wodzie-smakowała wybornie.

Poczta pantoflowa donosi , że na obrzeżach Woli mordują ludność cywilną , że grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.Wieści dochodzą od ludzi , którzy przedzierają się w bezpieczniejsze z pozoru miejsca piwnicami , kanałami i przynoszą nowiny.Wiadomo było ,że powstanie upadnie. To dziwnie zabrzmiało , ale czekaliśmy w tej piwnicy na powrót Niemców , bo wiedzieliśmy co wyczyniają inne nacje wchodzące w skład wojsk niemieckich./Rzeź na Woli /W tych tragicznych warunkach , w niepewności jutra żyjemy ponad miesiąc

Niemcy w walkach o poszczególne ulice , domy zdobyli plac i okoliczne kamienice,a na początku września wszystkich lokatorów wyrzucono . Mieszkańców wyprowadzono na zewnątrz.. Każdy zabrał najpotrzebniejsze rzeczy, dokumenty , ciepłą odzież i tak na ulicy pojawił się tłum bezradnych przerażonych ludzi z tobołkami ,w otoczeniu ruin i tłących się zgliszczy. Niemcy poprowadzili nas w kierunku pobliskiej

rampy kolejowej ,załadowali do pociągu i zawieziono nas do Pruszkowa .W ogromnej hali taboru kolejowego urządzili coś w rodzaju obozu . Tkwieliśmy tam kilka dni. Podobno Czerwony Krzyż ogarnął jakieś dożywianie ,ja tego nie pamiętam. Nikt nie wiedział co się z nami stanie , jaka czeka nas przyszłość..Ludzi ciągle przybywało . Domyślaliśmy się , że stopniowo ewakuuje się prawie cała ludność Warszawy. . Rodzice zorientowali się , że będzie wywózka albo do obozu albo na roboty.. Zastanawiali się jak uniknąć rozdzielania nas, wywózki , obozu..Zaplanowali , że tatuś będzie mnie trzymał na rękach , a Niemcom powie że żona zginęła w powstaniu - mówiono , że ojców z dziećmi nie wywożą. .Tatuś wziął mnie na ręce ,a ja wtedy zaczęłam ryczeć wniebogłosy , awanturować się i rodzice zrezygnowali z tego planu. Dobrze się stało.- mężczyzn z dziećmi też wywożono z tym ,że dzieci od razu szły do gazu-ojcowie do pracy..Tatę gdzieś zabrano , a mnie Bogdana i mamę razem z innymi załadowano na odkryte wagony o wysokich burtach , bez siedzeń ,z niebem nad głową..W czasie podróży , która nie wiem jak długo trwała , ale była bardzo uciążliwa, pociąg często się zatrzymywał . Podczas postoju rzucano nam jedzenie-a to jabłko , a to bochenek chleba –ludzie doskonale wiedzieli, kto jedzie tym pociągiem i starali się pomóc chociaż w taki sposób. Organizacja kolejarzy informowała okoliczną ludność , kto i kiedy będzie jechał daną trasą –stąd te „ zrzuty” jak z nieba.

Pod Częstochową polecono nam wysiąść z pociągu i kazano iść przed siebie , gdzie kto chce.

Głodni , przerażeni ludzie nie bardzo wiedzieli co robić ,dokąd iść?

Wcześniej rodzice się umówili , że gdyby nas rozdzielono , a przeżyjemy , to spotkamy się w Radziwiłowie Spod Częstochowy dostaliśmy się jakimś cudem do tegoż Radziwiłowa , gdzie mieszkała rodzina tatusia. Po drodze spotkaliśmy kuzynkę – starszą samotną panią , której synowie zginęli na wojnie-jeden w Katyniu, drugi we Francji w Legii Cudzoziemskiej Razem z tą kuzynką zamieszkaliśmy w Radziwiłowie . W małym domku kuzynów taty razem z nami było 9 osob . W jednej izbie na 1 łóżku spała babcia, tak nazywaliśmy tę kuzynkę , a na drugim nasza trójka . Mama pracowała z całych sił , żeby było co do garnka włożyć.Gospodarstwo rolne byłoby w stanie wyżywić wszystkich , ale obowiązkowe dostawy powodowały , że ludzie głodowali. Chodziło się zatem do gminy po żywność , do lasu po chrust , w ogródku były warzywa ,z gminy dostawialiśmy ziemniaki . Ciekawostką jest to , że gospodarze, u których był czegoś nadmiar zanosili nadwyżki do gminy z przeznaczeniem dla

warszawiaków. Każdy wiedział , że tam nie ma co jeść, ludzie cierpią nędzę i głód .Był to piękny gest

Mojej rodzinie bardzo pomagali państwo Tomaszewscy , gospodarze z Radziwiłłowa- przynosili mamie a to kosz ziemniaków, to kapustę ,owoce , warzywa.Tam przetrwaliśmy do końca wojny . Mama się nie skarżyła , praca ją ogromnie absorbowala ,ale niepewność jutra, brak wieści o tatusiu spędzała jej sen z powiek.

W końcu stycznia, przy pierwszej okazji, mama pojechała do Warszawy . Chciała zobaczyć dom , coś odzyskać . Przyjechała następnego dnia z wiadomością , że domu nie ma , ale zajęła dla nas mieszkanie . Kiedy po kilku dniach ponownie pojechała do Warszawy , to mieszkanie było zajęte , ale przez kogo innego. Zostaliśmy w Radziwiłłowie, gminnej wsi otoczonej małymi wioskami, w ciasnocie, bez perspektyw-tutaj pewnie zostaniemy na zawsze-myślałam . Żyliśmy z dnia na dzień ,czekając na powrót taty-wtedy być może coś się zmieni-miałam nadzieję.

W lipcu wrócił tatuś –wychudzony , zmarnowany , w pasiaku , ale zdrowy.. Koniec wojny zastał go w obozie w Austrii w Mauthausen. Obóz wyzwoliła armia amerykańska 5 maja 1945 roku .Wszystkich więźniów przebadano , ciężej chorych skierowano do amerykańskiego szpitala

.Tato pracował w kamieniołomach. Katorżnicza praca nadszarpięła mocno zdrowie taty . Amerykanie umieścili go w szpitalu .Ponad miesiąc leczono tatusia. Kiedy w miarę wyzdrowiał fizycznie zapewniono mu powrót do Polski. Psychicznie nigdy nie doszedł do siebie Do ostatnich dni bardzo mocno przeżywał pobyt w obozie , plakał. Czasem wspominał setki schodów ,po których musiał wchodzić i schodzić dźwigając kamienne bloki –w górę i w dół -do granic wytrzymałości.

Na apelu pytano uwolnionych wyleczonych więźniów ,gdzie chcą jechać –do domu czy do USA .Wielu z nich, około połowy zgłosiło chęć wyjazdu do USA , reszta do Polski- tato chciał do domu. Kiedyś wspominał tę swoistą selekcję. Jeden ze znajomych zgłosił chęć wyjazdu do USA. Wtedy inny, znający go współwięzień , który wiedział że ów „turysta” ma rodzinę obsobaczył go , zaklął siarczyscie i chętny do „ucieczki” zrezygnował z wycieczki za ocean.

Po kilku dniach odpoczynku tatuś wybrał się do Warszawy. Trafił do biura dla przesiedleńców i skierowano tatę z biletem do Gdańska. Na ulicy spotkał znajomego –dokąd jedziesz –zapytał kolega , tato odrzekł-do Gdańska , jedź ze mną do Rastenburga –tam są mieszkania , fabryki ,wszystko czeka na nas.Okazało się później , że ten kolega chyba nazywał się Echtymowicz, był krótko dyrektorem cukrowni. Po paru dniach tatuś wraca uśmiechnięty z przydziałem na mieszkanie na ul. Szopena /dom istnieje po dziś dzień/i skierowaniem do pracy w cukrowni.W perspektywie mieliśmy otrzymać domek jednorodzinny w sąsiedztwie cukrowni . Na razie te domki były jeszcze zamieszkałe ,ale lada dzień opuszczają je dotychczasowi mieszkańcy-wyjadą do Niemiec , obiecywano.

Myślę , że mama długo rozmawiała z tatą .Była bardzo niespokojna-gdzie ten Rastenburg, kto tam mieszka, , jacy ludzie, po jakiemu rozmawiają ?Pytania cisnęły się na usta-może jednak zostać, próbować wrócić do Warszawy?.Tatuś żeby rozwiać wszelkie wątpliwości , niepewność , zabrał mamę i Bogdana do obecnego Kętrzyna.Wrócili radośni i pełni nadziei na lepsze jutro.

Przyjechaliście do Rastenburga-jakie było Pani pierwsze wrażenie?

Rodzice już tu byli ,ja przyjechałam później.

A wrażenie?

Niekorzystne , wręcz straszne.Był wieczór , niesamowita cisza wokół ,napisy po niemiecku, ciemne ulice, nieoświetlone budynki-ciemno, czarno , smutno , pełno błota ,po którym brnęło

się do domu .Dlaczego tutaj przyjechaliśmy , po co? Zadawałam sobie w duchu pytania. Później okazało się ,że wybór był trafny.

Po latach tułaczki , niepewności , biedy mamy śliczne mieszkanie , tato dobrą pracę. ..Nareszcie możemy patrzeć z uśmiechem i radością w przyszłość , wszystko co złe już minęło , jest już za nami .

Na ulicy Szopena w dwupokojowym słonecznym lokalu na 1 piętrze mieszkaliśmy dość krótko. Na razie nie ma prądu, wody w kranach , ale na półpiętrze były ubikacje , po wodę chodziło się na zewnątrz „do źródelka” - wystają cego drewnianego melioracyjnego , z którego płynęła kryształowo czysta woda. Z drugiej strony domu były przyznane mieszkańcom ogródki , niewielkie zagony do uprawy warzyw-o każdą piędź ziemi podczas kopania była awantura jak u Karguli. Po paru miesiącach przenieśliśmy się do obiecanej wcześniej jednorodzinnej domku na ulicy, obecnie ,Samulowskiego 8

Okazało się , że w wielu przydomowych ogródkach były groby.Nasza sasiadka , Mazurka opowiadała, że pochowała w pobliżu kilku żołnierzy , że w naszym ogrodzie są 3 groby .Obok był spalony domek-Rosjanie dobijali się do niego , właściciele nie otworzyli drzwi -żołnierze podpali dom ze wszystkich stron ,mieszkańcy splonęli żywcem w zgliszczach..

Opowiadała też o bandyckim zachowaniu wojska o licznych gwałtach , o tym , że ona też została wielokrotnie zgwałcona –mówiła jakąś gwarą , którą , o dziwo , rozumieliśmy .

Kiedy zamieszkaliśmy na Samulowskiego mężczyźni z sąsiedztwa pełnili dyżury wieczorami i nocą.” Uzbrojeni” w drągi , palki , styliska tworzyli rodzaj straży obywatelskiej i pilnowali dobytku przed szabrownikami –to była plaga. Słyszałam później ,że część budynków w centrum miasta splonęła , bo szabrownicy niechcąc podpalił je .

A Potem?

Nadchodzi wrzesień 1945 roku.Brat zaczyna chodzić do szkoły/w byłym budynku CKU/ , ja trochę później –było już zimno , myślę że w początkach listopada. Moja klasa znajdowała się na 1 piętrze budynku przy ulicy Szkolnej ,obecnie nad apteka Brunona.

Pamiętam , że dzieci pracowników cukrowni dostawały podręczniki za darmo , a wszyscy uczniowie codziennie witaminy-brązowe duże tabletki, podobno były ze Szwecji/.UNRRA/

Miała Pani dość daleko do szkoły, jak pamięta Pani drogę do szkoły,jak wyglądało miasto? Chodziłam z bratem do szkoły ulicami Ogrodową , Szopena , Zjazdową i ogromna górą gruzów .

Miedzy dwoma ocalałymi budynkami/ Małeńką, i apteką taty Arno Holza/ teraz sklep oświetleniowy i były Miś / ludzie wydeptali w rumowisku wąskie ścieżynki ,którymi dreptaliśmy , żeby skrócić sobie drogę do obecnej ulicy Sikorskiego i szkoły.

. Sklepów było niewiele , nie interesowały mnie one bo nie miałam pieniędzy na żadne zakupy. Wiem , że pierwszy sklep powstał na rogu obecnej ulicy Powstańców Warszawy i Sikorskiego. Najbardziej potrzebny był chleb więc na początku powstawały piekarnie – Państwa Kwaśniewskich na ulicy Szopena , Państwa Szablowskich na końcu ulicy Traugutta-przed browarem , była też piekarnia na Nowej Wsi. Sklep mięsny jaki pamiętam z tamtych czasów ,to ten niewielki na ul.Zjazdowej i na Szopena - sklep mięsny z rzeźnią Pana Oliwy Sklepów innych branż jeszcze nie było, pojawiły się nieco później .Na początku były to sklepy prywatne.Chyba w 1948 roku otwarto sklepy PSS Spolem –na Szopena vis a vis stadionu otwarto sklep chemiczny-z farbami , proszkami do prania –starzy mieszkańcy pamiętają pewnie markowy proszek Radion. .Pamiętam też handlarzy chodzących od drzwi do drzwi proponujących garnki , patelnie , tkaniny itp.Inni domokrażcy zbierali odzież i płacili za używane rzeczy/nie ruszyły jeszcze zakłady odzieżowe i trzeba było radzić sobie inaczej./

Prawie wszystkie potrzeby mieszkańców zaspokajał wtedy rynek.

Na początku mieścił się w centrum miasta na terenie obecnego Placu A.K. i skweru im Arno Holza. Potem przeniesiono go na ul. W. Jagielly, gdzie jest do dzisiaj.

„Oferta handlowa” była dość uboga, ale nieco później można było kupić tam wszystko od śrubki po konia. Gospodynie przywoziły świeżutką śmietanę, masło, sery. Można było nabyć rąbanek, warzywa, owoce i tzw. towary kolonialne; herbatę, bakalie itp. Handlowano też żywymi zwierzętami – końmi, krowami, świniami, owcami, drobiem itp. Sprzedawano tkaniny, stare meble, lampy, naczynia, sztucce, garnki, zegarki itd., maszyny różnego rodzaju, czasem motocykle. Pamiętam, że rynek wypełniony był furmankami. Na wozach były worki ze zbożem, z mąką, z ziemniakami itp.

Idąc do szkoły z koleżankami, Marysią Kwaśniewską i Ulą Oliwą przechodziliśmy w dni targowe przez tłumny rynek, zaglądałyśmy przez wystawowe okna do wnętrza otwieranych sklepów. Stopniowo ich przybywało i choć były biedne, szarobure, nijakie czuło się, że miasto zaczyna tętnić życiem. Miasto stopniowo odgruzowywano, było coraz ładniejsze mimo odrapanych budynków, leżących jeszcze gruzów. Szła wiosna, wszystko wokół zielinilo się i przykrywało brzydotę zniszczonego miasta. Przybywało mieszkańców, widać chęć tutaj zamieszkać.

Wtedy pomyślałam, że chyba tu już zostaniemy.

Większość mieszkańców na przelomie lat 40/50 tkwiła w tymczasowości – nikt nie wierzył, że to będzie miasto polskie i że należy urządzać się tutaj na dobre. To nic, że odgruzowywano miasto – wojna gdzieś daleko na wschodzie trwa nadal /Korea 1950-53/, czy to się kiedyś skończy – zadawali sobie pytania?

Ja sobie myślałam – zakłady pracy, szkoły, rada miasta, starostwo, wszystko funkcjonuje.

Szłam z dziewczynkami do szkoły i cieszyłam się – chyba wszystko będzie dobrze, wojny tutaj już nie ma, a Warszawa? To tak odległe wspomnienie.....

Jak wspomina Pani szkołę?

Obie szkoły – jedna dla młodszych dzieci, druga dla starszych, jak wspominałam, znajdowały się przy obecnej ulicy szkolnej, gdzie później było Liceum Ekonomiczne, CKU. Ponieważ w budynkach nie było jeszcze ogrzewania, w każdej klasie stała koza – taki piecyk. Rura tkwiąca w piecyku odprowadzająca dym wychodziła przez okno. Większość okien zamiast szyb miała płyty z dykty lub deski, więc umieszczenie prymitywnego komina nie stanowiło żadnego problemu.

Szkola nr 1 zaczęła funkcjonować w następnym, 1946 roku. Moją wychowawczynią była Pani Olga Petraszko. W nowej szkole nr 1 podobały mi się sale lekcyjne, sala gimnastyczna, duże okna, posadzki i aula, ale fatalne były sanitariaty – cuchnące i zimą zamrożone. Uwagę moją przykuł gabinet biologiczny, który mieścił się obok auli. W tej sali były oszklone szaly i ukryte w narożnikach pomieszczenia z małymi drzwiczkami. Te mansardowe niewielkie stryszki były swego rodzaju magazynem pomocy naukowych. To tam pierwszy raz zobaczyłam egzotyczne zwierzęta na pięknych kolorowych planszach ułożonych i zrolowanych w idealnym porządku. Myślę, że uniknęły zniszczenia, bo były doskonale ukryte.

Pamiętam z Jedenastolatki, że tam również było mnóstwo plansz i pomocy naukowych, które ocalały z pożogi wojennej.

Z tych lat utkwily mi w pamięci akcje odgruzowywania. Obok szkoły, na rogu, tu gdzie obecnie jest klomb kwiatowy i część D.T. Ilona było zwałowisko gruzów. W ramach lekcji oczyszczaliśmy cegły z zaprawy, ładnie układaliśmy i to był nasz wkład w odbudowę Warszawy. Słynne hasło „Cały naród odbudowuje swoją stolicę” było adresowane także do nas, do dzieci. Praca nie była wcale trudna, cegły lekkie, takie „niby lekcje” a nie lekcje, więc z ochotą szliśmy na te „zajęcia”.

Ze szkoły nr 1 zapamiętałam niektórych nauczycieli – polskiego uczyła mnie Pani Szylin, Anna Mirynowicz – j. rosyjskiego, śpiewu Pani Matuś, biologii – Pani Anna Lobaszewska, W-Fu Pan

Andrzej Osiecki w 7 klasie, i chemii, Pani Gabriela Jocz , którą wspominam z ogromnym wzruszeniem .W szkole była drużyna harcerska , którą prowadziła Pani Irena Rodziewicz. Pamiętam też , że w szkole odbywały się wizyty higienistki i lekarza-to był chyba felczer Pan Kruczkowski.Miały one związek z akcją odwszawiania i szczepień ochronnych. W szkole była stolówka , która prowadziła Pani Regner.

Jak spędzała Pani czas wolny?

W zasadzie czasu wolnego nie miałam. Odrabianie lekcji, praca w ogrodzie , pomoc mamie przy zwierzętach i porządki domowe zajmowały mi cały dzień. Brat uczył się bardzo dobrze i po czterech latach już był na studiach w Warszawie –studiował chemię na Politechnice Warszawskiej. Tato pracował . Oczywiście przed i po pracy pomagał w tym naszym małym gospodarstwie , ale pracy było tak dużo , że” starczało” dla wszystkich. Lubiłam pracę na działce , w ogródku , karmić drób więc wcale nie narzekałam . Na wakacje jednego roku ZBOWID zorganizował kolonie dla dzieci byłych więźniów.Pojechałam ,ale wytrzymałam tylko kilka dni .Nie lubiłam być w gromadzie , w tłumie. Ktoś z rodziców przyjechał w odwiedziny do któregoś z dzieci , powiedziałam , że chcę do domu i spytałam czy mogą mnie ze sobą zabrać –zgodzili się i tak skończyły się moje kolonie. Była to moja pierwsza i ostatnia próba wakacyjnego wypoczynku.

Szkola średnia?.....

Po szkole podstawowej w 1952 roku rozpoczynam naukę w jedenastolatce.Razem ze mną do szkoły chodzą także moje koleżanki z sąsiedztwa-Lucyna Szymberska, Marysia Kwaśniewska i nieco młodsza, Wanda Szymberska.

W szkole kwitnie życie towarzyskie , tworzą się grupki koleżeńskie. Pamiętam jedną z nich- nazywały się „Amazonki”/z mitologii/, witaly się i żegnały po łacinie –salve/witaj/ i vale/żegnaj/.Było to być może zabawne , ale nam się podobało.

Ja nie należałam do żadnej z takich grup. Miałam bliską koleżankę, Ulę Kucharczyk i to mi wystarczało . Nie miałam czasu ani ochoty na rozrywki.Byłam zajęta nauką i pracą w domu. W ciągu czterech lat nauki pamiętam wycieczki w Boże Ciało , wycieczkę do Krakowa i nieudany wyjazd do pracy w PGR w ramach Służby Polsce.

/ Służba Polsce -organizacja młodzieżowa powołana z inicjatywy ZWM, OMTUR, ZMW”Wici”,ZMD ,ustawą sejmu utworzona 27 I 1948r mająca na celu włączenie młodzieży do realizacji planu odbudowy i rozbudowy Polski Ludowej.- rozwiązana 17XII1955 r.

Z jej tradycji korzystają Ochotnicze hufce Pracy/.

Zostałyśmy z koleżanką skierowane do pracy w PGR Sątopy. Pojechaliśmy , ale nikt na nas nie czekał więc po paru godzinach wsiadaliśmy w pociąg powrotny i wróciliśmy do domu. Nikt nas z tych „wagarów” nie rozliczył.

Przez pierwsze 3 lata moją wychowawczynią była Pani Michalak-rusycystka , a w klasie maturalnej , Pan Rozumko.

Maturę zdałam w 1956 roku.Złożyłam podanie na polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Niestety –nie dostałam się z braku miejsc. Stojąc przed tablicą z wynikami zauważyłam informację o naborze kandydatów do Studium Nauczycielskiego w Olsztynie na kierunek język polski. Pomyślałam jak to dobrze- bliżej domu , rodziców.

Pojechałam do Olsztyna .W sekretariacie pokazałam wynik egzaminu z U.W. i zostałam przyjęta . Uczę się w S.N w latach 1956-1958. Zatrudniona zostaję w Kętrzynie w „swojej” szkole-nr 1.

W 1964 roku otwarto nową szkołę nr 4 tzw, tysiąclatkę.Pan Jarzębowski przyjmuje mnie do pracy w charakterze polonistki Pracowałam w SP nr4 do emerytury w 1988 roku .Później pracowałam jeszcze na części etatu-odpoczywam od 1996 roku.

Życie rodzinne?

W 1960 roku wychodzę za mąż za zawodowego żołnierza, Władysława Mrowińskiego.

W 1961 roku przychodzi na świat córka Alina.

Ja pracuję i dzielę swój czas między swoją rodzinę i rodziców . Brat po studiach został w Warszawie , więc mam pewne obowiązki wobec mamy i taty..

Bardzo lubiłam swoją pracę. Kontakt z dziećmi , młodzieżą sprawiał , że czulam się potrzebna . Cieszyły mnie sukcesy moich uczniów , wychowanków, smuciły klęski i porażki. Nigdy nie żałowałam , że zostaliśmy w Kętrzynie.Rodzice do pewnego czasu tęsknili za Warszawą , potem już nie. Lubili swój domek , ogródek –tutaj byli szczęśliwi , ja z nimi i moją rodziną także.